

KATARZYNA
KUJAWSKA

ALEKSANDRA
SELIGA



HISTORIE
z ETHERTON

SERCE KNIĘCI



KATARZYNA
KUJAWSKA

ALEKSANDRA
SELIGA



HISTORIE
z ETHERTON

SERCE

KNIEI

TOM II



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczynie: Agnieszka Fiedorowicz
Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania
Korekta: Kinga Dąbrowicz
Grafika na stronach rozdziałowych: © Martin / Stock.Adobe.com
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © kateja, © Zaleman, © Macrovector,
© valadzionakvolha / Stock.Adobe.com
Wyklejka: © Alexandr Bakanov, © zdenek79harnoch, © joey333 / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2024 by Katarzyna Kujawska

Copyright © 2024 by Aleksandra Seliga

Copyright © 2024, Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2024
ISBN 978-83-8371-504-9

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



BAY

2010

Ostre światło jarzeniówki wwiercało mu się w mózg. Jego ciało bezwiednie kołysało się, a zaciśnięte na kolanach dłonie o pobielających knykciach zeszytywniały, sprawiając dyskomfort, który każdego przytomnego człowieka zmusiłby do zmiany pozycji. Ale Bay Henderson nie był w tej chwili zdolny do tak trywialnych czynności, a impuls płynący z dłoni do mózgu nie miał szans na przedarcie się do warstwy świadomości. Jego umysł był pusty, niezmacony ani jedną myślą. Umiejętność oceny sytuacji i zdolność przetwarzania bodźców wyłączyły się, zostawiając go na pastwę losu. Początkowe szok i paniczne przerażenie, po osiągnięciu krytycznego poziomu, wyparowały z jego ciała i umysłu, zamieniając go w opuszczoną muszlę.

Twarde plastikowe krzesło skrzypiało złowieszczo, gdy mechanicznie kołysał się w przód i w tył, a w takt dogrywał stary drewniany zegar, który od lat odmierzał godziny na posterunku policji w Etherton. Od jakiegoś czasu chłopak siedział tu zupełnie sam. Do jego uszu dobiegały odgłosy zamykanych i otwieranych drzwi,

stukot obcasów na marmurowej posadzce, dźwięki dzwoniących telefonów i fragmenty rozmów. Wszystko odbijało się od niego jak od ściany. Gęsia skórka pokryła odkryte przedramiona i łydki, które ewidentnie błagały o długie spodnie i sweter, lecz w umyśle Baya nadal panowało upalne lato. Widok za oknem opowiadał jednak inną historię. Targane przez silny wiatr drzewa zrzucały właśnie ostatnie liście na zaparkowane samochody i niegdyś soczyście zielone trawniki – teraz zmurszałe, podgniłe i oślizgłe. Gdzieś tam zalegały małe kopki szarego brudnego śniegu, który w tym roku spadł tak wcześnie, że mieszkańcy Etherton z niedowierzaniem kręcili głowami. Teraz topił się powoli, zamieniając trawnik w podmokłe bagno. Czarny kot czmychnął w pośpiechu ku piwnicy, zapewne w poszukiwaniu odrobiny ciepła i komfortu.

Drzwi raptownie otworzyły się, a pięćdziesięcioletni detektyw Scott Strikewell wparował z impetem do środka. Zerknął na Baya – na którym jego wejście nie zrobiło najmniejszego wrażenia – i ciężko westchnął. Zdjął znoszoną granatową marynarkę, ukazując wychodzącą ze spodni wymiętą szarą koszulę. Złapał drugie krzesło i usiadł naprzeciwko Baya.

– Bay? – spytał ostrożnie przez zaciśnięte gardło. Na jego pomarszczonym czole widać było krople potu, które spływały na twarz z sówicie oprószonych siwizną czarnych włosów. Objął chłopaka wzrokiem i zauważył, że trzęsie się z zimna. Sięgnął do najniższej szuflady biurka i wyjął stary koc w szkocką kratę. Założył go Bayowi na ramiona i ponownie usiadł na krześle.

– Bay? – powtórzył. – Czy jesteś w stanie ze mną rozmawiać? Od razu chciałem ci powiedzieć, że twoi rodzice są w drodze na posterunek i powinni niedługo się pojawić. Czy możesz mi cokolwiek powiedzieć? – kontynuował zaniepokojony, taksując chłopaka spojrzeniem.

Bay nie reagował na jego pytania.

Strikewell widział już wiele, szczególnie po latach pracy w terenie na Wester Crone, ale nigdy w życiu nie spotkał się z czymś takim. Doskonale czuł, że od rozpętania się piekła w Etherton dzieli go raptem godzina – i to przy dobrych wiatrach. Hendersonowie będą tu lada moment. Teresa Terran nie odpowiedziała ani słowem, gdy przeczuwając już doskonale, co się zaraz wydarzy, zadzwonił do niej przed kilkoma minutami. Rzuciła tylko słuchawką. Był pewien, że wybiegła z domu, jak stała, i zaraz wparuje rozhisteryzowana do budynku. Niebawem zjedzie się tu prasa i telewizja, a budynek zostanie dosłownie osaczony przez wyrwanych z biur dziennikarzy, którzy rzucą się na nich jak wygłodniałe wilki.

Miał wrażenie, że minęła wieczność od momentu, gdy niczego nieświadomy, ze świeżo zaparzoną kawą w ręku kierował się w stronę swojego gabinetu. Już miał otwierać drzwi i brać się do papierkowej roboty, gdy za plecami usłyszał zduszony kobiecy krzyk. Obrócił się raptownie, widząc, jak przerażona młodsza aspirant Pat Crowder łapie się za klatkę piersiową i cofa w kierunku ściany. Podążył za jej spojrzeniem, czując w powietrzu narastające napięcie. Jego dłoń instynktownie spoczęła na kaburze. Zamarł, gdy zobaczył rozgorączkowanego i wrzeszczącego wnuka burmistrza – Baya, którego całe miasto poszukiwało od dwóch miesięcy.

– Gdzie byłeś przez ostatnie dwa miesiące? Gdzie jest Ivy Terran? – dociekał Strikewell, starając się trzymać nerwy na wodzy.

Na dźwięk imienia dziewczyny Bay błyskawicznie zamarł i przestał się kołysać. Detektyw nachylił się w jego kierunku i po raz pierwszy ich spojrzenia się spotkały. Źrenice Baya były nie-naturalnie rozszerzone. Detektywa przeszedł niewytłumaczalny dreszcz.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? Co się z tobą działo? Gdzie byłeś?

– Zabrali ją.

Strikewell zachłysnął się powietrzem. Zerknął ukradkowo w stronę dyskretnie zamontowanej w rogu kamery, jakby chciał się upewnić, że nadal tam jest i nagrywa teraz każde słowo młodego Hendersona. Pulsujące małe czerwone światełko ukoilo jego nerwy. Atmosfera stała się tak napięta, że powietrze można było ciąć nożem. Zza drzwi gabinetu dochodził już harmider i podniesione głosy pracowników posterunku. Przysunął gwałtownie krzesło w stronę chłopaka i zdenerwowany złapał go mocno za ramię. Nie powinien był tego robić, ale emocje wzięły górę. Strikewell był też zwyczajnie zmęczony i powoli tracił cierpliwość.

– Kto? Kto zabrał córkę Terranów? – uniósł głos, który oscylował na granicy krzyku. – Henderson!

– Zabrali ją do Pogranicza – jęknął Bay i wpadł w histerię.

Dwa tygodnie później

Matka znów weszła bez pukania. Nie zająknęła się ani słowem, gdy zostawiała srebrną tacę z imbrykiem herbaty i mały talerzyk z garścią tabletek. Jej twarz daleka była jednak od obojętności, co Bay z łatwością wychwycił, zerkając na nią z ukosa. Ostatnie dwa miesiące dały jej w kość. Blond loki, choć nadal czyste i ułożone, wymagały ręki fryzjera. Nie miała na sobie grama makijażu, co do tej pory praktycznie nigdy jej się nie zdarzało. Zmęczona twarz poszarzała od stresu i braku snu. Uwydatniły się również pojedyncze zmarszczki.

Największa zmiana zaszła jednak w jej spojrzeniu. Żywy błękit tęczówek przybladł, zachodząc burzową chmurą. Cordelia Henderson utraciła ster i kontrolę i mogła jedynie biernie płynąć na fali tego, co miał jej przynieść los. Bay wiedział, że matka cierpi nie tylko przez utratę idealnego wizerunku i ciągłe bycie na świeczniku

mediów, ale również przez wzgląd na niego. Cordelia Henderson nie była potworem. Cordelia, bądź co bądź, była matką, a on był jej jedynym dzieckiem.

W oczach Baya jawiła się ona raczej jako zagubiona sama w sobie, niczym zbłąkane dziecko. Potulnie grała w takt tego, co zadrygowali ojciec i dziadek. Nie kwestionowała wyborów, nie podważała strategii działania i co najważniejsze, nie zadawała pytań. Bay wielokrotnie zastanawiał się, czy matka naprawdę nie chce wiedzieć, co wydarzyło się w tę letnią noc, gdy zaginęła Ivy, czy tylko paraliżuje ją strach i woli żyć w błogiej nieświadomości. Potulnie weszła w rolę cichej, niekomentującej opiekunki, która organizowała wizyty terapeuty, rozmawiała z lekarzem, wydzielala leki i podsuwała pod nos posiłki. Nie rozmawiała z mediami i wycofała się z życia socjety. Opadała z sił niczym ryba wyłowiona z morza i porzucona na plaży.

Gdy Bay głębiej się nad tym zastanawiał, w głowie mu się nie mieściło, że na dobrą sprawę nikogo z rodu Hendersonów nie interesowało, gdzie podziewał się przez ostatnie dwa miesiące. „Dwa cholerne miesiące!”, powtarzał gorączkowo, wciąż tak samo bezbronnie osłupiały. Nie wiedział, jakim cudem... Czas nie mógł być aż tak relatywny! A jeśli był... Nie mógł nawet zacząć się nad tym zastanawiać. Koszmarny lęk od razu wyłaniał się z czeluści jego jaźni.

Dziadek, którego rodzice przywieźli na wózku na posterunek, zadał mu tylko jedno pytanie:

– Chcę znać prawdę, każdą prawdę. Zrobiłeś coś Ivy Terran? – rzucił ostro, wyciągając w jego kierunku sękaty, powykrzywiany reumatyzmem palec.

– Nigdy w życiu bym jej nie skrzywdził!

Nic więcej Thomasa nie interesowało. Co się wydarzyło, gdzie on się podziewał, co, na Boga, stało się z córką Terranów? Wraz

z ojcem i rzeszą swoich pracowników momentalnie rzucili się w wir tuszowania, zamiatania pod dywan i przymykania ust policji oraz prasie. To było Etherton, a oni byli Hendersonami. To oni rozdawali karty.

Całe miasto szumiało od plotek, że wnuk burmistrza znalazł się nagle po dwóch miesiącach poszukiwań, że strauumatyzowany wtargnął na posterunek policji, błagając o pomoc, że nie było z nim zaginionej Ivy Terran i że nie potrafił wytłumaczyć, co się z nią stało. Podczas gdy atmosfera w Etherton stawała się coraz gorętsza, Bay został zamknięty w domu niczym więzień. Zabroniono mu z kimkolwiek rozmawiać, a wszelka komunikacja z mediami i policją miała prawo odbywać się wyłącznie przez prawników Hendersonów. Ci ostatni złożyli oficjalne oświadczenie, że Bay i Ivy zagubili się w Lesie okalającym Etherton, że bardzo szybko rozdzielili się, szukając drogi powrotnej, oraz że Bay stracił z nią po tym wszelki kontakt. Następnie doznał traumy i głębokiego szoku. Sam nie wiedział, jak znalazł drogę powrotną. Obecnie miał zostać poddany leczeniu i terapii. Dalsze losy Ivy Terran były mu nieznane. I ani słowa więcej.

Trzy razy w tygodniu miał przyjeżdżać do niego psychiatra z Etherton Lunatic Asylum. Jak do tej pory lekarz nieudolnie próbował cokolwiek z niego wydusić. Początkowo Bay zachowywał się, jakby nawet chciał coś powiedzieć, ale fizycznie nie potrafił tego zrobić, jak gdyby zapomniał całą ideę rozmowy jako takiej. W jego głowie wszystko było jednym wielkim chaosem, nic nie mógł z siebie wykrztusić. Wiedział tylko, że Las zabrał mu Ivy, że dosłownie wykradł mu ją z rąk. Wiedział również, że była to jego wina. To on miał przy sobie jej czarny wisiołek.

Później, gdy koktajl leków zaczął działać, przyszła nieco większa klarowność i wszystko powoli układało się w całość. To jednak sprawiło, że poczuł się znacznie gorzej. Brak jakiegokolwiek logiki w tym, co wydarzyło się, od kiedy dotarł pod Wietrzne Skały, niezwykle go

przytłoczył. Początkowo obawiał się, że zwariował, że to wymyślił. Tak byłoby przecież o wiele łatwiej. Mógł sobie to łatwo wmówić. Wiedział, że tego oczekuje od niego lekarz. Nie powiedział mu tego wprost, ale Bay nie był głupi i z łatwością to wyłapał.

Kilka dni temu zrozumiał, że nastąpił jakiś przełom. Instynktownie wyczuł, że ani nie chce, ani nie może więcej brać leków. Nie, jeśli chce dokopać się do prawdy, jakkolwiek byłaby bolesna. Dotarł do ściany i nadszedł czas, aby przestać uderzać w nią bezmyślnie głową. Nadszedł czas, aby zacząć działać. Wiedział, że jest z tym sam, ale to nigdy mu nie przeszkadzało. Bay Henderson całe życie był sam.

Podszedł do srebrnej tacy, zgarnął tabletki z talerzyka, a następnie odsłonił luzną deskę w podłodze pod łóżkiem. Uśmiechnął się blade, gdy pomyślał z politowaniem, że ze wszystkich możliwych kryjówek musiał wybrać akurat tę. Skończył jako oklepany frazes. Zrzucił tabletki do skrytki i już miał wstawić deskę na miejsce i przykryć dywanem, gdy nagle zawahał się. Przełknął ślinę. Z boku skrytki, spowitej w gęstej ciemności, puste, czarne jak noc oczodoły żółtej maski zdawały się go obserwować.

WILHELMINA

1969

Zamknęła oczy, wystawiając twarz na jesienny wiatr. Dzień był ciepły, chociaż gwałtowne podmuchy od czasu do czasu ziębiły skórę, zapowiadając szybkie ochłodzenie. Słońce bledło z tygodnia na tydzień, a Mina prawie nie pamiętała lipcowego żaru, kiedy trzymała Agni za rękę i wszystko zdawało się prostsze. Przy każdym podmuchu wiatru, który pieścił jej twarz i wywiewał myśli z głowy, Mina obserwowała wirujące pomarańczowe liście opadające ze starych, powykręcanych jabłoni. Kiedy szła, słyszała chrzęst pod nogami. Większość owoców została zebrana we wrześniu, a teraz na drzewach pozostały pojedyncze poplamione sztuki. Babki z Etherton (w tym jej niania) mawiały, że wszystkie trzeba zebrać do All Hallows' Eve, żeby zmarli nie dotknęli ich swym lodowatym, śmierdzącym oddechem. Kto zbierał owoce po pierwszym listopada, ten był przeklęty, gdyż należały one już do Królestwa Śmierci. Wbrew sobie Mina poczuła ukłucie bólu, gdy wspomniała Agni biegnącą wśród tych drzew w lipcowe wieczory, ognistą, roześmianą. „Jesteś taka sztywna, Willie! Rozluźnij się!” – ten lekko zachrypnięty głos prześladował ją na jawie

i w snach. „Dlaczego musimy wybierać?” – teraz wspomniała własny głos, niski, opanowany, cichy. Pytanie, które zadała matce niemal szeptem. „Tego oczekuje od ciebie Rodzina. *Familia Ante Omnia*”.

– *Familia Ante Omnia*. – Mina uśmiechnęła się gorzko. – Przekłete hasło...

Gdzieś za plecami usłyszała trzask pękniętej gałązki i odwróciła się. To była kuzynka Maribel. Dziwne, że wcześniej udało jej się podkraść niemal bezszelestnie. A może to Mina była tak zatopiona w myślach, że usłyszała ją dopiero teraz?

– Krewniaczko. – Wilhelmina pochyliła głowę na znak pozdrowienia. – Nie wiedziałam, że zaczęłaś opuszczać swój pokój poza śniadaniem.

Kuzynka zdawała się jednak jej nie widzieć. Zataczała się na boki w swoich czarnych sznurowanych trzewikach, jakby była pijana. Wreszcie roześmiała się i uwiesiła na ramieniu Miny.

– Las mnie w-wzywa – jęknęła. – Znowu. Och, czy tylko ja słyszę jego ostrzeżenia? Nie macie pojęcia, nie macie pojęcia...

„Rzeczywiście – pomyślała Mina – Czuję alkohol”.

– Ogień i śmierć. Ha-ha-ha! Mówiłam, przecież mówiłam! – Kuzynka śmiała się i chlupała jednocześnie. Jej warkocz niemalże się rozwiązał, a pasma czarno-siwych włosów wirowały na wietrze wokół poźółkłej twarzy. Wystające kości policzkowe i wielkie, wylupiające ciemne oczy nadawały jej wygląd owada.

– Krewniaczko! – Mina złapała ją delikatnie za ramię i pociągnęła w stronę ścieżki prowadzącej do rezydencji. Wiedziała, że z szaloną kuzynką trzeba postępować delikatnie. Nikt nie winił jej za to, jak się zachowuje. Chociaż Maribel stanowiła wstydliwą tajemnicę Airesów, rozumiano, że przyczyną utraty zmysłów był Las. Wszystko było winą Lasu, powtarzano.

Mina zeszywniała. Czyż nie przed tym ostrzegła ją Agni? Czyż nie to próbowała jej wytłumaczyć, gdy mówiła, że to nie Las jest

zły, tylko oni? Ale w takim razie dlaczego kolejne dziecko zaginęło kilka dni temu? Dlaczego czuła ten krwiożerczy mrok, który stamtąd wypęztał?

Maribel ścisnęła rękę Miny swoimi chudymi, kościstymi palcami.

– O taaak... Ja też byłam w środku. Byłam przez długi, długi czas, chociaż dla was minął tylko jeden dzień. I spotkałam tam dziewczynę z innych czasów! Popelnili błąd, straszliwy błąd, a teraz całe miasto musi za to płacić. Serafino! Serafino, Aleisterze, nie róbcie tego! Stójcie! – Kuzynka wyrwała się z objęć Miny i upadła w pożółkłe liście, brudząc suknię. Zanim dziewczyna zdążyła wezwać pomoc, Maribel zerwała się i pobiegła w głąb sadu, w stronę cmentarza.

– Maribel! Maribel, krewniaczko! Pomocy, pomocy! – krzyknęła Mina.

Czy kuzynka kiedykolwiek wcześniej wspominała o obcej dziewczynie? Nagle poczuła straszliwy ból głowy. Pisk w uszach był tak dotkliwy, że upadła na kolana. Usłyszała kroki, ktoś nadbiegł, ktoś pomógł jej wstać. Kuzyni ruszyli za uciekinierką. Mina rozejrzała się dookoła i zobaczyła twarz matki – bladą, wściekłą, pochmurną. Zamknęła oczy i docisnęła do nich dłonie, jakby chciała wepchnąć je sobie głęboko w czaszkę. Ból był nie do zniesienia. Znów upadła.

– Wstawaj. – Matka szarpnęła nią i oderwała jej ręce od twarzy, chwytając brutalnie pod brodę we władczym geście. Mina poddała się, uległa zrezygnowana.

– Co zrobiłaś z Maribel? Gdzie moja siostra?

Mina rozszerzyła oczy ze zdumienia. Zanim zdążyła spytać, dlaczego matka nazywa daleką krewniaczkę siostrą, podbiegł do nich burmistrz Henderson.

– Aurette – powiedział, kładąc kobiecie rękę na ramieniu. Był czerwony, zdyszany, zachrypnięty.

Odepchnęła go. Nie była sobą. Mina nigdy jeszcze nie widziała jej tak rozwścieczonej. Matka zawsze była zimna i spokojna,

ukrywanie emocji miała opanowane do mistrzostwa. Ukrywanie albo wręcz wypieranie.

Znów ktoś podbiegł – tym razem był to wuj Bacchus. Mina próbowała nadążyć za wszystkim, co się dzieje, ale straszliwy ból głowy przeszkadzał jej w skupieniu się. Miała wrażenie, że gdy chwytła jedną myśl w locie, na jej miejsce wskakuje inna, urwana, poszarpana, skłębiona.

– Auretto. – Tym razem to wuj powtórzył imię matki. – Mistrzynie – dodał ciszej. – Twoja siostra... wbiegła do naszego zagajnika. Nie zdążyliśmy jej dogonić. Posłałem za nią ludzi z psami. Jeśli nie zdąży dobiec do Lasu, być może uda się jeszcze...

– Dość. – Matka Miny przerwała mu, wlepiając oczy w córkę. – To twoja wina. Nie, co ja mówię... – dodała po chwili. – To wina tej piekielnicy, twojej przyjaciółki. Niech będzie przekłety dzień, w którym pozwoliliśmy na powstanie osady Havi Piryah w Etherton! – krzyknęła, a Mina poczuła, jak wokół nich zawirowało lodowate powietrze.

„Nie”, chciała powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Ból był zbyt silny. Zobaczyła korowód postaci pełznący do nich od strony cmentarza, lecz zanim zdążyła ostrzec kogokolwiek, straciła przytomność.

Leżała w swoim łóżku, opatulona koronkową pościelą z wyszywanim srebrną nicią herbem Aires. Sylfidy o ptasich skrzydłach, spomiędzy piór których wystają sekretne regalia Łoży Wielkich Magów Ceremonialnych. Kątem oka dostrzegła ruch. W pokoju był *monsieur* Corentin. Nie, nie do końca był... to tylko jego widmo, Posłaniec. Oddzielony element materii duchowej, wysłany w celu dostarczenia wiadomości, niematerialny.

– Panno Wilhelmino, musimy natychmiast się spotkać i porozmawiać. Nie wolno mi już wejść do rezydencji, zdołałem jednak

przebić się przez magiczną osłonę tylko na chwilę, by to powiedzieć. Proszę czekać na mnie przy Wietrznych Skałach po zachodzie słońca. – To powiedziawszy, widmo rozwiało się, akurat w momencie, gdy otworzyły się drzwi pokoju.

– Czy panienka z kimś rozmawiała? – spytała czujnie Dorithy, świdrując cały pokój małymi, świńskimi oczkami, zapewne na rozkaz matki.

„Jestem pilnowana – pomyślała Mina. – Jak stąd uciec?”

– Nie, to gramofon. Dorithy, chciałabym pojeździć wieczorem na Eurusie. Czy każesz Johnowi go przygotować?

Pulchna kobieta zawahała się i odparła:

– Powiedziano mi, że panienka jest słaba i musi odpoczywać. Może zawołam matkę?

– Nie! – Mina podniosła się z łóżka, ale po chwili znów opadła na poduszki, bo zakręciło się jej w głowie. – W porządku. Nie ma potrzeby. Będę odpoczywać.

Dorithy wyszła, ale Mina wiedziała, że i tak pójdzie powiadomić matkę. Chciała porozmawiać z Agni, z Thomasem, z Sage. Chciała, żeby wiedzieli, że teraz rozumie ich wątpliwości. Na to było jednak za późno. Tylko co jeszcze przed nią ukrywano?

Słaba, obolała, niepewna, co się właściwie stało, odkąd zemdląta w sady, Mina zapadła w płytki sen. Miała wrażenie czegoś lepkiego i ciężkiego, co rozrasta się i pełźnie po ziemi. To nie były ręce, ale też nie korzenie, raczej coś pomiędzy rośliną a potwornym, antropomorficznym kształtem. Pnącza, liany – czy może długie, oślizgłe palce, sztywne niczym szczurze ogony – rozrastały się i wydłużały, wspinając się po ścianach Aires Manison, okręcając wokół nóg od krzesel i stołów, wpełzając do niej pod kołdrę...

Mina obudziła się z krzykiem. Znów dostrzegła kogoś w pokoju. Tym razem postać była rzeczywista, choć kryła się za błękitno-szarym dymem z papierosa. Matka.

– Miałaś koszmary. Krzyczałaś – powiedziała, po czym głośno się zaciągnęła.

– Co się stało? Wcześniej? – Mina powoli usiadła i położyła drżące ręce na kołdrze.

– Zemdląłeś, Bacchus zaniósł cię do łóżka. Tyle.

– A Maribel?

– Nie znaleźliśmy jej. – Matka zgasila papierosa, wrzuciła go do popielnicy trzymanej na kolanach i jak zwykle położyła ją na dywanie przy nodze krzesła.

– Mamo – jęknęła Mina.

– Nie. – Kobieta przerwała, wzięła głęboki wdech i powiedziała cicho: – W porządku. Wszystko ci opowiem. – Urwała, ale po chwili kontynuowała zdecydowanym głosem: – Tak, Maribel to moja siostra. Moja rodzona siostra. I to ja jestem winna jej szaleństwa.

Mina czekała, wbijając wzrok w twarz matki, której oczy błędziły gdzieś po ścianach pokoju i spoglądały w przeszłość.

– Kiedy byliśmy małe, Las był dużo dalej. Babka Charlotta zabraniała nam się do niego zbliżać. Mówiła, że Las zjada dzieci.

Mina przełknęła ślinę. To była prawda.

– Wymyśliłyśmy więc siostrzaną zabawę. – Aurette przerwała, patrząc w okno. – Nie, teraz, gdy to wspominam, wydaje mi się, że podpatrzyłyśmy tę zabawę u dzieci z Etherton. Wiesz, u tych wszystkich obdartusów i łachmaniarzy, którzy włóczą się całe dni bez opieki, bez szkoły... Nie zbliżyłyśmy się do tych dzieciaków, ale tą zabawą byłyśmy zachwycone. A może tylko ja byłam nią zachwycona, a ona udawała, bo nie chciała pokazać, że się boi?

Milczenie wisiało ciężko w pokoju, gniotąc klatkę piersiową Miny. Matka potarła zmarszczone czoło jedną ręką i sięgnęła po papierosa. Nagle zaczęła mówić inaczej, lekko, jakby przypomniawszy sobie starą sztuczkę z wypieraniem emocji. Dokończyła chłodno:

– Któregoś dnia chciałam nastraszyć ją trochę bardziej. Nie wiem, dlaczego sprawiało mi to przyjemność. Spłoszyła jej klacz, gdy siedziała w siodle. Wpadła prosto do Lasu.

Mina westchnęła głośno. Przez całe dotychczasowe życie słyszała, że Maribel to daleka, mało znana kuzynka z innej gałęzi Airesów, która przybyła do miasteczka jako dziecko i zabłądziła w Lesie, ponieważ sama się do niego wybrała, nie znając niebezpieczeństwa.

– Najpierw znaleźli klacz – kontynuowała po chwili matka. Jej głos był opanowany, normalny, jak gdyby opowiadała, co przytrafiło jej się w pracy. – A raczej szkielet klaczy. Wyglądał, jakby leżał tam kilka dziesięcioleci. Ale podkowy na pewno należały do Gracji. Było na nich jej imię i herb Aires. Potem znalazła się i Aurora. Ustaliliśmy, że nikt nie może wiedzieć, że to była jedna z dwóch córek Charlotty i Frederica, jedna z dwóch dziedziczek rodu Aires. Zamknięto ją w pokoju, wymieniono służbę na inną, a Aurorę zaczęto nazywać Maribel, daleką kuzynką.

– Aretta i Aurora – szepnęła Mina, kiedy przypomniała sobie napis na kamieniu znaleziony z Agni.

Matka spojrzała na nią czujnie.

– Wilhelmino, wiem, że wciąż przeżywasz tę sytuację ze śmiercią Evy. Przykro mi, że musisz przez to przechodzić. Ale myślę, że teraz powinnaś zostać w swoim pokoju i odpoczywać.

„Jestem więźniem – pomyślała w panice Mina. – Muszę...”
Urwała, patrząc w twarz matki. Czyż Wielka Mistrzyni nie była doskonała w czytaniu z umysłów innych? Natychmiast odgoniła wspomnienie mglistej sylwetki Corentina.

Matka wstała, zabrała popielnicę i wyszła z pokoju, zamykając go na klucz.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)